

Podróż do Szwecji, 1967 r.



Palac Tyresö, fot. Flickr

Teresa Fabijańska-Żurawska

Z teki globtrotera

Pięć dolarów amerykańskich wykupionych w Narodowym Banku Polskim, wprawdzie za własne pieniądze, ale na specjalne zezwolenie z Ministerstwa Kultury i Sztuki, zielony paszport z literą „S” i prywatne zaproszenie w kieszeni. Lecę samolotem Polskich Linii Lotniczych, na ministerialnym miejscu, prosto za morze, do Sztokholmu. Dreszcze po plecach mi chodzą, emocja ogromna, boć to pierwszy raz do kraju, jak się u nas mawiało, zgniłego kapitalizmu. Jaka ta Szwecja jest? - znana mi dotąd z ponurej raczej literatury i z filmów Ingmara Bergmana.

Kraj Augusta Strindberga, genialnego Frödinga. Dana Andersona, Sjöberga i współczesnego nam Svena Stolpe, pisarza katolickiego, którego kilka książek po polsku wydał przed laty Instytut Wydawniczy PAX. No, dobrze, literatura, sztuka, ale jacy są zwykli ludzie, jak żyją tam, na północy, w odmiennym, zimowym klimacie, w ponurości tak wielu miesięcy w roku, a przecież także w kraju białych nocy i zorzy polarnej.

Odlatywałam trzydziestego czerwca, a więc czekały mnie białe noce. Z duszą na

ramieniu wysiadałam z samolotu, cała w lęku, bo może moja depesza nie dotarła, może za późno, może nie zdążą dojechać z Mjölby do Sztokholmu. Jakoś o pieniądze nie martwiłam się, nieświadoma znikomości sumy, którą pozwolono mi wywieźć za pokwitowaniem bankowym na różowym druczku.

Miałam mnóstwo szczęścia, już na lotnisku Arlanda dojrzałam wysoką sylwetkę barona Axela Hermelina, wypatrującego małej ogłupiałej Polki. Radość powitania i spokój w duszy. Jedziemy oplem Olimpią o metalicznym, niebieskim kolorze, ze skórzanymi siedzeniami, bardzo szerokimi i bardzo głębokimi. Ugrzęzłam w miękkościach przyciśnięta pasem bezpieczeństwa. Ruch niesamowity, czteropasmówki pełne mknących aut, a wszystkie na światłach, chociaż było jeszcze jasno. Patrzyłam na migające osiedla podmiejskie, wtopione w zieleń lasów, na światła kolorowe drogowskazów, wreszcie w mieście na barwy ogromnych, ruszających się reklam. Byłam jak w bajce. Siedziałam cichutko, bo mi się wydawało, że śnię i za chwilę ukaże się moja szara, socjalistyczna ojczyzna, przyciemnawa, i co tu dużo mówić, dość niechlujna.

Wypatrywałam dla przekory i satysfakcji domów odrapanych lub przynajmniej nie tak jasných, nic z tego, wszystko nowiutkie, jakby dopiero wczoraj wybudowane. Przyjechaliśmy do nowego osiedla domów willowych, gdzie mieszkał syn mojego gospodarza z młodą i śliczną, nowo poślubioną żoną. Przyjęli nas bardzo serdecznie i podjęli kolację, która u nich, jak we Francji, nazywa się obiadem.

Jadalnia była niewielkim pokojem przy kuchni, stół długi z grubym blatem drewnianym i bez obrusa. Pod naftową, wiszącą lampą stały przepiękne kwiaty ułożone na wzór holenderskich obrazów z siedemnastego stulecia, a więc wszystko, co dało się zerwać w ogrodzie u końca czerwca. Kompozycja była artystyczna, wielobarwna. Każdy z nas dostał podłużną matę, talerz drewniany i serwetkę z obrączką. Wniesiono pieczone ziemniaki w mundurkach i miskę z masłem, w której tkwiły drewniane noże. (Po dzień dzisiejszy takich używam, bo są wspaniałe). Aha, były widelce. Nakłuwaliśmy kartofle i małymi nożykami usuwaliśmy skórę, a potem drewnianym nożem nakładaliśmy obficie masło. Pycha, zupełnie jak przy ognisku we własnym kraju. A potem wjechał deser - truskawki okazałe, polane suto śmietaną, posypane migdałami i tartą czekoladą. Panowie popijali piwko, panie dostały soczek. Wino czerwone podano w salonie, przy kominku.

Rozmowy dotyczyły Polski, jej zależności politycznej, co gorąco kwestionowałam (idiotka!) tłumacząc, że to nie zabory, że mówimy po polsku, są szkoły polskie, dzieci się uczą po polsku i starannie języka ojczystego. Zadano mi pytanie: co to jest patriotyzm? - z miejsca sugerując, że ojczyzna jest tam, gdzie się mieszka i miewa dobrze. Zaprotestowałam gorąco. Moje drzewa, moje jeziora, moja bieda - to właśnie moja ojczyzna, gdzie wcale nie musi być tak bardzo człowiekowi dobrze, nawet raczej źle, ale TO jest właśnie moja OJCZYZNA. Pokiwali głowami udając, że rozumieją. Kurtuazja szwedzka nakazywała przywołać historię i Katarzynę Jagiellonkę, kobietę odważną i godną podziwu, która dała Szwecji dynastię. Już poczuliśmy się jak w rodzinie. Moja kurtuazja, w domu gospodarzy nakazała mi milczeć o wizytach, jakie przed laty złożyło nam wojsko szwedzkie, zachwycone bogactwem Sarmatów, łupiąc wszystko, co się dało. Do dzisiaj w muzeach szwedzkich najpiękniejsze eksponaty: rzędy końskie, broń, czapaki - to polskie wyroby artystyczne lub z Polski pochodzące. Szwedzi wzięli sobie z Polski także wzór dworu, pałacu szlacheckiego, nie magnackiego, bo u nich nigdy magnaterii nie było: szlachta i dwór królewski. Żyli dużo skromniej niż niejeden szlachcic na zagrodzie, ale poziom życia był stosunkowo wyrównany. Dało to im podstawy do obecnego powszechnego dobrobytu.

W tym bogatym kraju zobaczyłam czerwone, drewniane domy wiejskie lub letniskowe, tzw. dacje, wesołe, błyszczące czystymi szybami dużych okien bez zasłon, wewnątrz proste, z gładkiego, pełnego drewna sprzęty, często lampy naftowe, bo dawały nastrój, podobnie jak kominek. Szwedzi cieszą się uciekając od cywilizacji. Archipelag w pobliżu Sztokholmu skalisty słabo porośnięty sosną, jest ulubionym miejscem spędzania weekendów i wakacji. Woda cudownie czysta, szmaragdowa, ale zimna. Trzeba umieć pływać bardzo dobrze, bo wszędzie są skały, z których skacze się wprost na głębokie wody.

Sam Sztokholm, dzięki wodzie, która wciska się tu i tam dość głęboko w ląd, nie licząc części portowej, jest miastem dostojnym i solidnie zabudowanym, można powiedzieć ładnym i malowniczym, z półwyspami i wyspami okalającymi starszą część. Oczywiście starówka z wąskimi uliczkami o starych brukach, chronionych na pamiątkę. Wysokie, wąskie kamieniczki swymi zdobnymi szczytami przypominają jako żywo, Amsterdam, a także nasz Gdańsk. Piękne położenie ma ratusz miejski, z dwóch stron oblany wodą, z wieżą w narożniku, jest miejscem napływu licznych

turystów, ponieważ tu zwiedza się wspaniałe sale do uroczystości nadawania Nagrody Nobla. Największa sala o ścianach wyłożonych mozaiką z małych złotych kosteczek, robi chyba najbardziej szokujące wrażenie. Myślę, że oprócz licznych muzeów, z ich cennymi zbiorami i oczywiście zamku królewskiego, udostępnionego w dużej części (apartamenty Bernadotte'ów) z przeniesionym niedawno Livrustkammaren (Zbrojownią królewską) warto i trzeba koniecznie zobaczyć skansen sztokholmski.

Jest on skrzyżowaniem lunaparku z wesołym miasteczkiem prowincjonalnym, ogrodem zoologicznym, salą koncertową na wolnym powietrzu, warsztatami rzemieślniczymi z ubiegłego wieku i muzeum. Rodziny z dziećmi wybierają się tutaj na cały dzień, by spędzić go atrakcyjnie, każdy według woli i gustu. Organizacja ruchu, informacja i usługi są doskonałe. A zwiedzać można drewniane domy i fermy wiejskie, miejskie, małomiasteczkową zabudowę, np. aptekę z domem farmaceuty, można zobaczyć hutę szkła i nawet na oczekaniu zamówić drobiazg, który zrobią na oczach. Mennica odbija plakietki, a kuźnia wykona np. podkowę na szczęście. Można też zwiedzić dwór szlachecki wraz z zabudową pomocniczych budynków, kościół, spichlerze, świruny i wszelkie inne drewniane cudeńka wiejskiej cieszności. Skansen daje obraz dawnego życia. Można powiedzieć, dość prymitywnego i bez wygód cywilizacji, ale wcale nie biednego.



Teresa Żurawska, Mjölby, 17 lipca 1973 r.

* * *

Śniadanie podano w ogrodzie. Wisząca kanapa pod baldachimem, stół i ogrodowe meble. Sery różnych gatunków, nie krojone, leżały na deseczkach, dżem owocowy, kawa z termosu, mleko w dzbanku. Zachwycił mnie chleb. Nie miał kształtu bochna, chociaż był okrągły. Płaskie krążki, grubości około połowy centymetra i średnicy prawie półmetrowej, dziurkowany, gęsto posypyany białym

makiem lub siemieniem lnianym. Bardzo mi smakował.

Jedziemy do Tyresö. Pałac - rezydencja szlachecka na południowy wschód od Sztokholmu, położony jest nad fiordem. Zwiedzamy powozownię pałacową z bardzo ciekawymi karetami z siedemnastego wieku. Sceneria do bajki. Ogromna powozownia o kilku salach, całkowicie nie odkurzana. Pył pokrył wszystko na szaro, a pajęczyny zasnuły gęsto wszelkie kąty i połączyły się w wymyślnych zawijasach z lampy, sufitu, bud powozowych, łapiąc nas i omotując nasze głowy i ręce.

- Czas nagli, więc siadamy do samochodu i jedziemy z powrotem do Sztokholmu oglądać królewskie karety paradne w Livrustkammaren, wówczas jeszcze w gmachu Nordiskamuseet. U wejścia wita nas urocza pani w wieku średnim, bardzo elegancka i zaprasza na ekspozycję. Pani ta, dowiedziawszy się, że jestem Polką, zaczęła mówić po polsku, ale Polką nie była, po prostu poliglotka w charakterze hostessy. Nigdzie więcej nie spotkałam się z takim stanowiskiem w muzeach. Trzeba przyznać, że było to bardzo miłe. Pełna zachwyty i podziwu dla wspaniałych karoc z ubiegłych wieków i sposobu ich konserwacji, zapragnęłam zobaczyć dzisiejszą, użytkową stajnię i powozownię oraz apartamenty Bernadottów w zamku królewskim. Była właśnie uroczysta zmiana warty z orkiestrą i popisami. Wieczorem pałac Drottningham (też do zwiedzania). Wnętrza urocze, ale tylko wtedy dostępne, gdy nie ma rodziny królewskiej i drewniany teatrzyk, bez światła elektrycznego, nie zmieniany od osiemnastego wieku. Właśnie dawano operę kameralną Mozarta „Cosi fan Tutte”, przygotowaną gościnnie przez zespół z Berlina Zachodniego. Poziom królewski, fotele dla dworu, służba w strojach z epoki witała trzymając w rękach wieloświecowe, barokowe kandelabry. Do oglądania wystawiono w foyer kostiumy teatralne i rekwizyty z osiemnastego wieku. Poczulałam się jak dama dworu z tamtej epoki mając u boku uroczego barona w muszce.



Axel Hermelin, 1974 r.

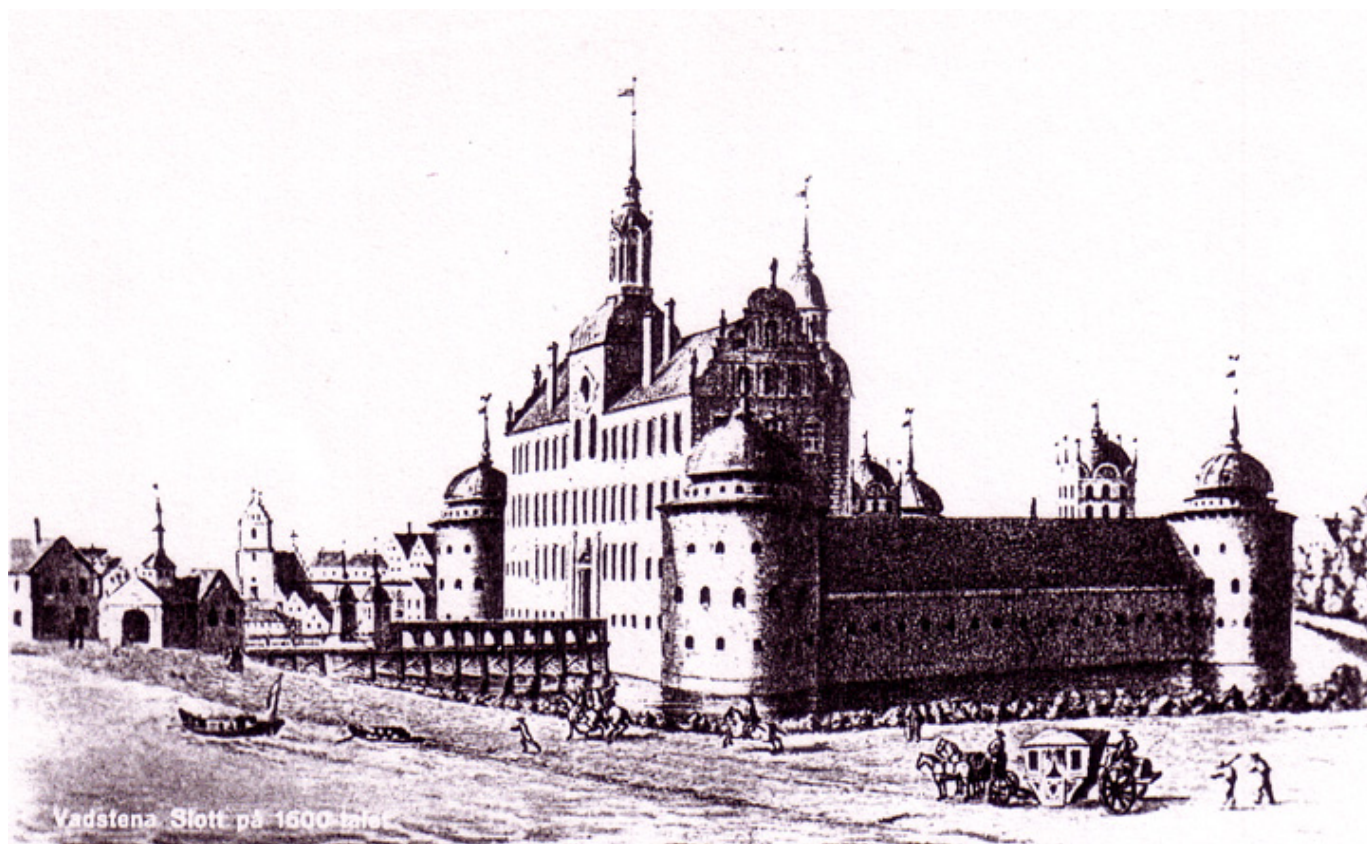
* * *

Opuszczamy stolicę udając się do Mjölby, odległego o 240 km na zachód. Po drodze mała rezydencja królewska w Tülgarden, położona na cyplu półwyspu wciskającego się między wyspy i wysepki. Krajobraz z tarasu rozległy i bardzo malowniczy. Wewnątrz pałacu dekoracja na ścianach w stylu Gustawa III, w jednym gabinecie podłoga pokryta rokokowym malowidłem na płótnie, inne intarsjowane w figury, co

jest wyjątkowe. Orowadzała mnie zażenowana swym wakacyjnym strojem, pierwsza dama dworu, jak się okazało żona marszałka. Pałac otoczony jest parkiem przechodzącym w las. Tam szukaliśmy grobu koni królewskich Gustawa VI tak, tak - to u nich normalne!

Im bliżej byliśmy celu, tym rozmowy schodziły z nurtu profesjonalnego na towarzyski. Najwyraźniej byłam przygotowywana do wizyty, jaką mieliśmy zapowiedzianą na wieczór. Słyszę, że Szwedki wkładają na wieczór długie suknie, złote pantofelki, kolie z brylantów. Odpowiadam, że nie mam długiej sukni wieczorowej, ani złotych pantofli, ani kolii z brylantów - czyż więc mogę być zaproszona? - Na to otrzymałam szeroki uśmiech i skinienie głową.

Była to pamiętna dla mnie wizyta w domu pisarza szwedzkiego, Svena Stolpe, znanego również w Polsce z książek o św. Brygidzie, która żyła w epoce gotyku (1303-1373). Założyła w miejscowości Vadstena klasztor wraz z kościołem, istniejący do dzisiaj. Zachowały się w nim szaty liturgiczne, ornaty z jej czasów.



Vadstena, zamek Gustawa Wazy, XVII w, Szwecja.

Vadstena jest maleńkim miasteczkiem, ogromnie interesującym. Oprócz

wymienionych zabytków sakralnych, znajduje się tam ponure zamczysko z 1545 roku – rezydencja króla Gustawa Wazy, z czterema bastejami w narożach – otoczone wodą sztucznie doprowadzają z jeziora Watter, nad którym leży Vadstena. Ze wzruszeniem oglądałam średniowieczny szpital dla ubogich – mały dom murowany z czerwonej cegły, o jednym piętrze, z wykusikiem i z okiennicami. Kiedyś przecież w każdym mieście takie istniały, zawsze na uboczu, a często poza murami obronnymi miasta. Dzisiaj nazwalibyśmy je hospicjami.

Jedziemy autostradą Sztokholm – Malmö. Ruch niesamowity, droga nudna, więc zabawiamy się rozmową o Italii i jej urokach, o wyspie Ischia, o małej miejscowości Macerata nieopodal Civitanova nad Adriatykiem. Jest tam miejskie muzeum bardzo interesujące, posiadające duży i ciekawy zbiór pojazdów konnych. Co jakiś czas mijamy na szosie gumowe przewody położone w poprzek drogi. Pytam, co to takiego i otrzymuję odpowiedź, że są to liczniki rejestrujące liczbę przejechanych samochodów. Test na wytrzymałość nawierzchni? – nie bardzo zrozumiałam.

W innym miejscu zainteresowały mnie dodatkowe wybetonowane drogi bardzo starannie utrzymane, które znajdowały się w szczerym polu lub w pobliżu lasu. Okazało się, że są to pasy startowe dla wojskowych samolotów. Wszędzie ogromny ład, pola uprawne daleko od szosy, oddzielone zielenią, parkingi, dla kierowców, miejsca odpoczynku. Można odpocząć, zjeść, wypić kawę, umyć się, a nawet wziąć prysznic, nie mówiąc już o podręcznych zakupach.

Nas oczekuje pani Inger i dzieci, więc wypijamy pospiesznie kawę i jedziemy dalej. Na trasie dwa ważne i duże miasta: Norköping i ośrodek uniwersytecki – Linköping. Stąd do Mjölby już niedaleko. Przyjechaliśmy na czas. Szybko szykujemy się na wizytę. Kąpiel w ogromnej, cudownej łazience, makijaż, sukienka raczej wizytowa niż wieczorowa, robiona ręcznie szydełkiem z ciemnoniebieskiej wełny, ażurowa i sztuczna biżuteria ku podniesieniu nastroju. Moja Inger włożyła przez solidarność ze mną też krótką garsonkę, błękitną z białymi dodatkami. Znów samochód i znów droga.

Mała miejscowość nad jeziorem Sömmen nazywa się Maleksander. We dworze, żywo przypominającym nasze klasyczne, osiemnastowieczne pałacyki, mieszkają pp. Stolpe, którzy właśnie tego dnia obchodzili uroczyste swoje srebrne wesele (25 lat

małżeństwa). Gości zjechało niemało. Przyjęcie daleko odbiegało od amerykańskich *party's* i atmosferą i organizacją. W przedpokoju należało złożyć wizytówki na tacę, którą zabrała natychmiast służąca w białym czepeczku i fartuszku. Po chwili drzwi salonu otworzyły się szeroko i pani domu - dama drobna, szczupła i ujmująca wyszła na powitanie. Podano jakieś mini przekąseczki do drinków i na razie goście stali, witali się, rozmawiali wszyscy ze wszystkimi. Później poproszono do dużej jadalni, gdzie cały pokój wypełniony był długim stołem. Karteczki z nazwiskami wyznaczały każdemu należne mu miejsce. Nazwano mnie „madame la Pologne” i posadzono na miejscu honorowym, po prawej stronie gospodyni. Zaszczyt niewątpliwie, ale jakaż męka, zwłaszcza, że przede mną stało sześć przeróżnych kieliszków, po obu stronach talerza leżały różnorakie sztuczce, jakich nie widziałam w swoim życiu, nie wiedziałam do czego mogą służyć. A tu wszystko zaczynało się od mojej skromnej osoby. Podawał służący. Nabierałam i czekałam aż pani domu zacznie. W ten sposób chytrze podpatrywałam co do czego i jak. Przebrnęłam jakoś dzięki serdecznej atmosferze i wielkiemu zainteresowaniu Polską.

W białą noc zaproszono na przejażdżkę po jeziorze i to było cudowne. Potem bawiliśmy się w ogrodzie bulami (ciężkimi kulami), które znałam wcześniej z literatury. Nad ranem Sven Stolpe własnoręcznie przygotował pierwsze śniadanie, bez służby i bez pompy. Piliśmy sznaps, jedliśmy słone śledzie z rodzynkami (brr!), sery na deskach, i słodką szynkę. Gdyby nie było w tym nic niezwykłego, pewnie zapomniałabym.

W drodze na Adres



Barbara Gruszka-Zych (z lewej) i Monica Tranströmer (z prawej), fot. Henryk Przdziono.

Barbara Gruszka-Zych

Sztokholm, gdzie żył i zmarł Tomas Tranströmer, laureat literackiego Nobla 2011, wznosi się na skale. Rozmowa z jego żoną Monicą też. Tą skałą jest jej miłość do męża i jego wierszy.

Nie ukrywa wzruszenia, kiedy pokazuje nam noblowski medal, który mąż dostał w 2011 r. – Uwielbiam wiersze Tomasa i wiem, że na niego zasłużył – mówi. Przywołuje też moment z 1990 r., kiedy po udarze uczył się pisać lewą, sprawną ręką. – Nie wiedziałam, jak ukryć wzruszenie, widząc, z jakim trudem stawia literę za literą. Jak 6-letni chłopczyk, któremu w końcu wychodzą jakieś bazgroły. Miał wtedy 59 lat i duży dorobek. Męczył się, a ja widziałam, że to tylko dwa, trzy zdania. Bałam się, czy mają jakiś sens, ale podczas lektury okazywało się, że to bardzo dobrze zapisane błyski, niesamowite olśnienia.

Te małe momenty były prawdziwym cudem w ich życiu. – Bez słów nie można kłamać – mówi Monica, przypominając o próbie prawdy, jaką przeszedł ich związek, kiedy Tomas przestał mówić. Pisząc wiersz „7 marca 1979”, jakby przeczuwał czekające go milczenie:

Dość mając wszystkich, którzy przychodzą ze słowami,

ze słowami, ale nie mówiąc nic,

wyjechałem na zaśnieżoną wyspę.

Pustkowie nie zna słów.

Niezapisane stronice ciągną się na wszystkie strony!

Natrafiam na ślady sarnich kopytek w śniegu.

Mowa, choć żadnych słów (tłum. Czesław Miłosz).

Most

„Tomas” to najczęściej powtarzane słowo podczas tego spotkania.

Pogrzebów przybywa

coraz gęściej i gęściej

jak znaków drogowych (...) Z wolna

buduje się most prosto w kosmos (tłum. Leonard Neuger)

napisał w wierszu „Sypie śnieg”. Jego żona, zapraszając nas na rozmowę, dopuszcza, żebyśmy stali się budowniczymi tego mostu. Wchodzimy do mieszkania, do którego przeprowadzili się 17 lat temu. Wtedy, już na wózku, po raz pierwszy wjechał tu jej mąż. Z okien czwartego piętra zabytkowej kamienicy widać jezioro Saltsjö, z wodami słonymi jak łyż, oddzielone śluzą od słodkiego Mälaren. Pełno tu światła – na podłodze, białych ścianach i w bladych płatkach hortensji. Tomas nie doczekał lata,

kiedy jest najwięcej światła w roku. - Tak bardzo chciał latem pojechać na naszą ukochaną wyspę Runmarö z niebieskim domem dziadka - mówi Monica. - Zmarł 26 marca 2015 r.

- Bał się śmierci? - pytam. - Bardzo - nie ma wątpliwości. - A jednak był dzielny. Kiedy przez ostatnie miesiące ubywało mu sił, pytałam: „Jak długo jeszcze damy radę?”. Odpowiadał gestem lewej ręki. Monica pokazuje, jak zbliżał do siebie kciuk i palec wskazujący, między którymi tworzyła się odrobina przestrzeni. Znaczyło to: „Jeszcze trochę”.

Zwykle budził się wcześniej rano. Monica prosiła, żeby trochę poczekał i dał jej pospać. O wpół do siódmej wstawali, włączała radio, żeby posłuchał najświeższych wiadomości. Podawała śniadanie na białym owalnym stole w kuchni. Jadł je też z nimi Carl Helmer Westerberg, dziadek Tomasa ze strony mamy. To o nim napisał, że jest jego starszym o 71 lat przyjacielem. Portret dziadka do dziś wisi na centralnej ścianie kuchni, sąsiadując z drewnianym malowanym zegarem z datą 1805, również pochodzącym z rodzinnego domu poety. - Tak hałasuje, że go nie nakręcą - mówi Monica. Po śniadaniu było głośne czytanie gazet, książek, gra na fortepianie. Oczywiście cały czas dzwonił telefon.

W pokoju Tomasa wszystko jak za życia. Tylko już ponad dwa lata nikt nie otwierał leżących na fortepianie nut Bacha i Brahmsa do grania lewą ręką.



Medal noblowski, który Tomas Tranströmer dostał w 2011 r., fot. Henryk Przdzono.



Monica Tranströmer z fotografią męża, fot. Henryk Przdziński.

Śnieg

Pierwszą książką, jaką jej polecił, był „Zniewolony umysł” Czesława Miłosza. Kiedy się poznali, miała 17 lat, on był o 9 lat starszy. Należała do grupy młodych interesujących się literaturą. On, już po debiucie, miał na koncie trochę wierszy. Po ich lekturze stwierdziła, że czytała lepsze. Był lubiany przez kolegów, wesoły, zdolny,

przystojny i – widziała to – miał talent. Po szkole zaczęła pracować w księgarni. On, po psychologii, którą studiował równoległe z historią literatury i religii, został asystentem w Centrum Psychologii w Sztokholmie. Uczył się też gry na fortepianie i organach.

Monica: – Pierwszy raz spotkaliśmy się w 1957 r. Bardzo szybko zostaliśmy parą. Rok później byliśmy już małżeństwem. To taka ekspresowa miłość. W wierszu „C-dur” zapisał:

Kiedy po spotkaniu z nią wyszedł na ulicę

wirował w powietrzu śnieg. (...)

wszyscy uśmiechali się za postawionymi kołnierzami.

Ale swoboda!

I wszystkie znaki zapytania poczęły śpiewać o istnieniu Boga.

Niedawno znalazła jego notatki z młodości z zapisanym odkryciem, że miłość erotyczna i sztuka nie są wrogami religii, ale próbują odsłonić rąbek tajemnicy. To był czas, kiedy w szkole średniej, dzięki nauczycielowi religii i filozofii Göście Kellermanowi, zbliżył się do Boga.

Monica: – Rodzice Tomasa rozwiedli się, kiedy miał trzy lata. Ojciec zniknął z jego życia. Wychowała go kochająca mama Helmy, wierząca, ale nie praktykująca protestantka. Kiedy skończył 12 lat, miał przystąpić do konfirmacji. Ale jako jedyny w grupie powiedział pastorowi, że nie chce tego, a mama zaakceptowała jego decyzję. Już jako 17-latek wierzył, ale jeszcze nie chodził do kościoła. Dopiero w latach 70. zaczął regularnie uczestniczyć w nabożeństwach. Czuł się dobrze blisko Boga w cichej przestrzeni kościoła.

Anioł bez twarzy

Dwa lata po ślubie przeprowadzili się ze Sztokholmu do Linköping. Tomas dostał tam posadę psychologa w poprawczaku. Dzięki jego metodom terapii aż 30 proc.

osadzonych wracało do normalnego życia. Po latach zdarzało się, że późnym wieczorem odbierała telefony od wychowanków męża. Kiedyś zadzwonił ktoś mocno pijany. Mówił, że pan Tomas obiecał, że po 50 latach będą wspólnie czytać listy, które pisali do niego, wyobrażając sobie, co będą robić, gdy wyjdą na wolność. „Minęły dopiero 32 lata, nie chcę dłużej czekać”. Widać było, że się stęsknił.

Mówiono, że jest najbardziej roztargnionym psychologiem na świecie. Na zdjęciu przed domkiem na wyspie Runmarö widać, jak siedzi i czyta, a na wygaszonym grillu leży jego czarny kapelusz.

Monica: - To bardzo typowe dla niego. Gdzie było wolne miejsce, tam kładł swoje rzeczy.

W Linköping urodziły się im córki Emma i Paula.

Monica: - Tomas szybko zrozumiał, że psychologia nie rozwiąże wszystkich problemów. Stracił naiwność, kiedy pracował z młodymi przestępcami, ale wiarę w człowieka zachował do końca.

(...) Objął mnie anioł bez twarzy i zaszeptał przez całe ciało:

„Nie wstydź się tego, że jesteś człowiekiem, bądź dumny!

W twoim wnętrzu otwiera się sklepienie za sklepieniem bez końca”

- napisał w wierszu „Łuki romańskie”. Potem przenieśli się do Västerås, gdzie na pół etatu pracował z trudną młodzieżą z rodzin bezrobotnych i pisał. Jego wiersze doceniono już wtedy w USA. Spopularyzował je tam poeta Robert Bly. Monica zaczęła studiować pielęgniarstwo.

TOMAS TRANSTRÖMER

NIEBIESKI DOM

WYBORU DOKONAŁA
MIECZYŚŁAWA BUCZKÓWNA

Tomas Tranströmer



Wydawnictwo Książkowe IBiS

Strona tytułowa tomiku poezji Tomasza Tranströmera z jego autografem, biblioteka Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

W środku krzyża

Czas przed udarem Tomas miał napięty do granic ludzkich możliwości. Pracował na pół etatu jako psycholog, ale też w komisji nowego tłumaczenia Biblii, podróżował po świecie zapraszany na spotkania autorskie.

Monica: – Poeci potrafią wiele rzeczy robić naraz, ale wtedy Tomas przekroczył najwyższy poziom stresu. Poważnie się obawiałam, że dostanie zawału. Nie myślałam, że to będzie udar, bo zwykle powala starych, a Tomas nie był stary. Tego dnia miał jechać z Västerås do Sztokholmu, ale bolała go głowa, skarżył się na podwójne widzenie. Poszedł do łazienki, upadł, przytomność odzyskał w szpitalu. Był przeziębiony i to sprawiło, że rokowania były złe. Stracił mowę, miał niedowład prawej strony ciała.

Monica: - Nawet wtedy zachował humor. Nie mógł wymówić słowa, a przedtem cały czas mówił. „Teraz jestem wolny” - dawał do zrozumienia.

Przez 6 tygodni pobytu w szpitalu odchodziła od niego tylko po to, żeby od 9.00 do 10.00 rano odbierać w domu telefony i informować bliskich o stanie jego zdrowia.

Monica: - Trochę mi żal, że w tamtym okresie byłam nieobecna jako matka. Oddałam się na wyłączność mężowi. Córki miały już po 20 lat, ale też mnie potrzebowały. Zupełnie zapomniałam o sobie. Liczył się tylko Tomas. To było naturalne, bo przyszła wielka katastrofa i trzeba było wszystkie siły skierować na to, żeby się z niej podnieść. Radzono jej, żeby przeszła na pół etatu, a po godzinach zajmowała się mężem. Zdecydowali, że będą walczyć razem, dlatego zrezygnowała z pracy. To był czas, jak napisał w wierszu „Na wolne powietrze”, kiedy nie tylko na ułamek sekundy znajdowali się „w środku krzyża”.



Barbara Gruszka-Zych w domu państwa Tranströmerów, fot. Henryk Przondziono.

Fortepian

Dla Moniki udar męża był szokiem. Nie wiedziała, czy za jakiś czas nie uderzy ze zdwojoną siłą. Żeby nie ulegać rozpacz, koncentrowała się na terażniejszości.

Monica: - Artyści wielkiego formatu, jak Tomas, mają wielkie siły do walki.

- A skąd Pani czerpała siłę? - pytam. - Nie było trudno ją mieć. Tomas nie cierpiał na depresję, miał ogromną ochotę do życia, planował, był nadal twórczy. Poza tym moja dotychczasowa praca pielęgniarki była męcząca i poczułam ulgę, że mogę być tylko z nim. Pół roku przed udarem kupili fortepian, bo tęsknił za graniem. W ramach rehabilitacji nie tylko próbowali stawiać go do pionu, uczyli czytać, ale i grać.

Monica: - Terapeuci uważają, że rehabilitując, trzeba skupić się na tym, co sprawia choremu największe trudności. Kiedy znaleźliśmy się na początku drogi, zdecydowaliśmy się doskonalić to, co umiał najlepiej - głośne czytanie i grę na fortepianie.

Po udarze właściwie sylabizował słowo za słowem. Wtedy zaczęła mu głośno czytać po kilka godzin dziennie. Wybierali lektury, które były interesujące także dla niej, żeby się nie nudziła - „Idiotę” Dostojewskiego, „Klub Pickwicka” Dickensa.

Monica: - To nie było tylko zwyczajne siedzenie obok siebie w fotelach. Ogarniało nas wtedy niespotykane dotąd uczucie bliskości. Może z tej opowieści wynika, że żyliśmy w idealnej harmonii. Zdarzały nam się jednak też momenty frustracji, nieporozumień, zniecierpliwienia - zastrzega się. - Szybko zrozumieliśmy, że to do niczego nie prowadzi. Jest zadowolona, że to ona czuwała przy nim, a nie profesjonalny opiekun: - Prędzej czy później byłby znudzony opieką nad Tomaszem i przestałby słuchać, co mówi. Ona zawsze była na niego uważna.

Kości

Przez 30 lat przed chorobą byli ze sobą tak blisko, że rozumieli się bez słów. Kiedy jedno zaczynało mówić, drugie wiedziało, jak skończyć. To się przydało, kiedy metodą prób i błędów uczyła się zgadywać, co mąż ma na myśli. Gdy wydawał niezrozumiałe dźwięki, domyślała się, co chce przekazać. Czuła, że mówi nie to, co powiedziała by ze swoją erudycją, ale akceptował prawie wszystko. Chętnie dawał

wywiady, a wtedy ona była jego głosem. Jakby uprzedził to doświadczenie, pisząc w „Artyście na Północy”:

Pola bitewne w nas

gdzie my, Kości Zmarłych

bijemy się by ożyć.

Przed chorobą nigdy nie zaglądała do jego brudnopisów. Miała respekt do innego świata, jakim było jego pisanie. Dopiero kiedy coś skończył, mówił: „Przeczytaj, jestem gotowy”. Po udarze zapiski, pamiętniki stały dla niej otworem. Była asystentką, sekretarką i pielęgniarką męża. Kiedy prosił ją o notatki sprzed 25 lat, znajdowała je i kontynuowali pracę od wybranego fragmentu. Przepisywała nowe teksty na maszynie i powtórnie robiła to po korektach. Kiedy zauważała, że brakowało mu jakiegoś słowa, uzupełniała je, a on się z tym zgadzał.

Monica: – Tomasz żył 25 lat po udarze. To prawdziwy rekord. Nieustannie dawaliśmy sobie jakiś kawałek czasu, pytając: „Może jeszcze pół roku uda się nam być razem?”.

– Wiem, że nie kocha się za coś – mówię. – Jednak muszę zapytać, za co kochała Pani Tomasa? Jaki był? – Nie kochałam go w części, ale w całości, jako osobę – odpowiada. – Niemożliwe jest opowiedzenie, jaki był. Ci, którzy go nie znali, nie pytają o to. Ci, którzy go znali, wiedzą. Mogę powiedzieć, że był poetą, autorem tych tomów wierszy. Przez nie prowadzi najprostsza droga do niego.



Od lewej: Jan Henric Swan - tłumacz, Barbara Gruszka-Zych i Monica Tranströmer, fot. Henryk Przondziono.

Nowe życie

Przez 25 lat prowadzili dom otwarty. Zawsze pełen gości, którzy chcieli przebywać blisko nich. Nie myślała wtedy, jak należy żyć z innymi, to wychodziło naturalnie.

Monica: - Po śmierci Tomasa dostałam nowe życie. Nigdy dotąd nie byłam sama, tylko z nim. Przedtem przyjaciele przychodzili tutaj, teraz ja muszę do nich jechać. Wraca zadowolona, ale potwornie zmęczona. Tak jakby cały wieczór mówiła w dawno nieużywanym języku. Albo musiała nasłuchiwać rozmówców z wielką uwagą, jak ktoś głuchy, do kogo docierają strzępki słów. Teraz stara się wypracować inny kod niż ten, którym porozumiewali się z mężem. Uczy się być sama, obserwując innych samotnych, jak sobie radzą. - Trudno odpowiedzieć na pytanie: „Czy boisz się śmierci, czy wierzysz w Boga?” - mówi. - Większość z nas odpowiedziałaby:

„Czasami – tak, czasami – nie”.

- Ludzie, którzy czytają Pani męża, odkrywają Boga – przerywam jej. – Zgadza się, bo Tomasz był głęboko wierzący – potwierdza. Otwiera na chybił trafił jego tom i czyta wiersz „Rozproszona gmina”:

Wyraziliśmy zgodę i pokazaliśmy nasze domy.

Przybysz pomyślał: dobrze mieszkanie.

Rudery we wnętrzu są waszym.

Wewnątrz kościoła: sklepienia, kolumny

białe jak gips, jak gipsowy bandaż

na złamanej ręce wiary. (...) Somnanbulik Nikodem w drodze

na Adres. Kto ma Adres?

Nie wiem. Ale to tam idziemy.

- To postscriptum do naszej rozmowy – uśmiecha się.

Dziękuję Janowi Henrikowi Swahnowi za pomoc w tłumaczeniu rozmowy z języka szwedzkiego.

Artykuł ukazał się w „Gościu Niedzielnym” 22/2017.

<http://gosc.pl>

W 2000 roku ukazał się przepiękny film dokumentalny Bożeny Garus-Hockuby „Przedmowa do ciszy” o Monice i Tomasie Tranströmerach. Podczas zdjęć poeta był już od wielu lat częściowo sparaliżowany. Żona jest więc jego ustami i przewodnikiem w meandrach życia. Widz czuje, że małżonkowie wiedząc o sobie wszystko i obdarzając się wielką miłością, stali się jednym. W filmie pokazano, jak Tomasz Tranströmer gra lewą ręką. specjalnie dla niego skomponowane utwory. Widzimy dom z dzieciństwa, albumy, wspomnienia, szkołę w której pracował poeta. O wszystkim opowiada żona, a on JEST.

Miałam okazję widzieć film w POSK-u w Londynie w 2017 roku. Na projekcji była też autorka dokumentu. Mówiła, że dotarła do poety i jego żony przez rodzinę Jastrunów - Tomasza syna Mieczysława Jastruna i jego matkę Mieczysławę Buczkównę. Tomasz Jastrun był attaché kulturalnym i dyrektorem Instytutu Polskiego w Sztokholmie i znał rodzinę Tranströmerów. Bożena Garus-Hockuba podkreślała też, jak wielka prywatność cechuje Szwedów. Na realizację filmu małżeństwo zgodziło się tylko dlatego, że film będzie pokazywany w dalekiej Polsce, a nie w Szwecji.

Więcej o filmie:

<http://www.filmpolski.pl/fp/index.php?film=4212777>

Joanna Sokołowska-Gwizdka